

imigrantów, którzy po wojnie lub dziesięć, piętnaście lat później poszli do miast za robotą i chlebem. Zdarzało się, że niektórzy z nich, zanim stali się działkowiczami, próbowali (nawet w Warszawie!) w łazienkowych wannach hodować prosiaki, a na podwórzach stawiali kurники, budowali szopy; trzymali w nich króliki. W małych zaś miastach i miasteczkach (zwłaszcza na Ziemiach Zachodnich) dzierżawili ziemię uprawną; mieli konie, krowy, owce, kozy, a nawet podwórka niekiedy przekształcali w coś w rodzaju przydomowych ogródków.

I nie było w tym nic dziwnego: idąc do miast, szli tam z wpojonymi od dzieciństwa sposobami zdobywania środków do życia i wzorami zachowań, funkcjonowania w świecie. Życie dla wielu z nich było więc niewyobrażalne bez tych środków i wzorów. Dlatego starali się stworzyć warunki ich urzeczywistnienia. Dopiero z czasem, niekiedy po latach pracy produkcyjnej czy biurowej uległy one zatarciu, posiadanie ogródków działkowych i ich uprawianie stało się dla nich możliwością (częściowego) życia „jak dawniej”, choć tylko w miniaturze. I to z nich zwłaszcza rekrutują się najbardziej zapaleni i wytrwali działkowicze.

Owe ogródki były dla nich miejscem obcowania z czymś swojskim, co dawało o sobie znać wiatrem, zapachem ziemi, poczuciem przestrzeni, nawet gdy ograniczała się ona do ogrodzonych siatką lub płotem kilkuset metrów powierzchni. A to, co na nich wytwarzali wprawdzie nie musiało być jakościowo lepsze od tego, co mogli kupić w warzywniaku, ale sytuowało się aksjologicznie wyżej. Miało inny smak. Urodę. Sobie właściwą świeżość. Budziło nawet inne wrażenia dotykowe. Czas oczywiście robił swoje; więc z jego wpływem stawali się jak inni, ale coś z tego wszystkiego zostało i trwa po chwilę obecną.

### 3. Rajska kraina swojskości

W ogródku działkowym oto nie ma miejsca na dowolność. Nie wszystko więc może w nim być posadzone czy zasiane. Jest tam miejsce na określone kwiaty, warzywa, rośliny ozdobne, krzewy i drzewa owocowe, nawet na jakiś żywopłot czy okalającą go drucianą siatkę. Nie ma miejsca na chwasty, perz, samosiejki drzew, które rosną samopas np. w lasach, parkach czy przy drogach. Ogródek ma być „ładny”, ale sam dla siebie, jako ogródek. Ma być też wyłączony dla obcych i intruzów. Dostępny jest tylko dla swoich, co uprawiają lub zostali doń zaproszeni.

Owa „ładność” ogródka z kolei ma jedno ograniczenie: nie może być ekspozycyjna, wystawna, jak kwiaty lub warzywa na straganie lub w kiosku, lecz ma być taka sama dla siebie. Po prostu: swoja własna, ogródkowa. Odpowiada ona w całości, jak się zdaje, „niezwykłemu stopniowi realności” drzewa z „Historii o panu K.” Brechta, które istnieje dla siebie, ale zarazem musi się wiązać z życiem swych właścicieli. Stanowi bowiem wizualne przedłużenie codzienności, a właściwie – życia domowego, jego zwykłych funkcji i wyobrażenia schludności.

Z drugiej zaś strony jest czymś więcej: miejscem i oznaką nagromadzonej (lub zapowiadanej) obfitości i nadmiaru dóbr uzyskiwanych od natury, które stanowią wartości dla siebie. Uosabia dobry byt, którego pełni brakuje w życiu codziennym. I nawet, gdy zbiera się jego bogactwo w postaci, wiśni, agrestu, szczypiorku, ogórków, czy gdy

zrywa się kwiaty, aby umieścić je wazonie w mieszkaniu, to wszystko to stanowi jakby przenoszenie ogródkowej aury do życia domowego; jego wzbogacanie o coś, czego nie ma w żadnym innym miejscu; czego nie można kupić w sklepie czy na rynkowym straganie lub w kiosku z kwiatami. Momenty tego bogactwa mają w sobie wcieloną jakość: ogródkowość i zdają się nie posiadać nawet znamion towarowości.

Ogródek działkowy pełnił jednak kiedyś ważną funkcję ekonomiczną dla ludzi z klas pracujących. Był istotny, podobnie, jak hodowane w szopie w nim kozy i króliki. Dostarczał dodatkowych środków do jedzenia dla rodziny. Dzięki temu jedni mogli przeżyć w miarę bez głodu, inni za środki, których nie wydali na nie, mogli po robocie napić się piwa, wódki albo taniego wina. Latem lub jesienią czynili to zresztą też w ogródku, zwłaszcza w sobotnie popołudnia. Potem mogli zdrzemnąć się w altanie, w oddali od skrzeku bab i dziecięcego hałasu, skubnąć owoc, nakarmić króliki, wydoić kozę, wreszcie wrócić do mieszkania, zjeść kolację i położyć się spać przed zbożnym znójem kolejnego dnia roboczego.

Umacniało to na swój sposób rodzinę i czyniło przejrzystymi stosunki męskodamskie oraz między rodzicami i dziećmi. Pozwalało też żywić złudzenie, że czas po pracy jest czymś głębszym, niż reprodukcją siły roboczej. Zdawało się, że się żyje w pewnej całości, której momenty nie dają się przeliczyć na pracę zarobkową; że alkohol, powiew wiatru, zapach koperku, kwiatów, nawet woń kozich i króliczych bobków to coś więcej, niż to, co jawi się bezpośrednio. Była to bowiem prawie pełnia życia. A gdyby tylko zarobki były wyższe, mogłaby się ona wydarzyć w każdej chwili. Tymczasem trzeba tylko powyrwać chwasty, wyrównać grządkę, zebrać ogórki na mizerię i zrobić bukiet kwiatów do domu...

Działalność działkowicza bowiem jest żywym uosobieniem nieustannego balansowania między krainą użyteczności i istnienia wśród sytuacji oraz rzeczy trwających dla siebie. Dla samego trwania. O jej podejmowaniu lub też zaniechaniu decyduje on samodzielnie, jeżeli tylko nie ma innych obowiązków, a pora roku i dnia, pogoda są odpowiednie, i nie nęka go jakaś dolegliwość. Zależnie od nastroju i chęci może swe czynności ogródkowe wykonywać sztywnie lub wolniej; może też robić dłuższe lub krótsze przerwy w swej pracy. Przynajmniej teoretycznie, bo w praktyce różnie to bywa; często wszak pracują w ogródku całe rodziny, wtedy bywa, że żona pogania męża lub oboje pokrzykują na dzieci, by się nie lenili.

Ale mimo to nad tempem, charakterem i jakością ich działań nie ciąży ten przymus, który cechuje rygory produkcji fabrycznej czy regulamin urzędu lub jakiegokolwiek instytucji, gdzie człowiek jest tylko rzeczą użytkową, sterowaną i manipulowaną przez mniej lub bardziej bezosobowy system zarządzania. W ich bowiem obrębie nikt i nic nie istnieje dla siebie, a wartość wykonywanych czynności określają parametry techniczne lub pragmatyczne, w ostatecznym zaś rachunku płaca robocza.

W działalności ogródkowej to wszystko znika. Wprawdzie też działa się tu celowo i planowo, podlega się konieczności przyrody i organizuje się pracę, oczekuje się również określonych jej owoców, lecz człowiek sam siebie tutaj używa zgodnie z własną wolą, a

nie jest używany. Sam też siebie dyscyplinuje lub folguje sobie. Dlatego miast systemów i rygorów odczuwa swobodę trwania, nawet gdy mężczy go podejmowany wysiłek. Wysiłek ten wszakże może być porównywany nie z robotą zarobkową, a z trudem kogoś, kto się podejmuje np. górskiej wspinaczki albo przepłynięcia wpraw jeziora podczas wakacji. I jak tu nagrodą jest znalezienie się na szczycie czy na drugim brzegu, tak tam dorodna sałata czy marchew albo cudnie kwitnące kwiatki na rabatce. One zaś nie stanowią zapłaty (choć przecież mają też wartość pieniężną), lecz są widomym znakiem spojenia działkowicza z ogródkiem i z naturalnością (estetyczną), która się mieni różnymi odcieniami tego, co swojskie i bliskie.

Moja żona, która prowadzi pracownię plastyczną dla amatorów, opowiedziała mi kiedyś coś, co to wszystko pozwala dośćbitnie uwyraźnić. Oto jedna z uczestniczek jej pracowni przez kilka ostatnich miesięcy letnich i jesiennych malowała wszystko, co znajduje się na jej działce. Nie tylko „ładne” kwiatki, ale i konewkę, altankę, rozsypujące się wiklinowe fotele, ścieżki, chwasty, krzewy itp. Przedtem zaś, nim poddała się tej dziwnej pasji, bardzo starannie wybierała obiekty do swych malarskich przedstawień. Teraz, gdy zajęła się przedstawianiem swego ogródka, właściwie jak leci. Na pytanie: dlaczego? – odpowiedziała, że działka, wraz z sąsiedzimi, ma być zlikwidowana, bo uznano, że to doskonały teren pod szosę, a ona chciałaby ją dla siebie zachować. Przynajmniej w obrazach.

Co jednak faktycznie utrwałała farbą na płótnie? Coś, co nie ma właściwie postaci wizualnej: bliskość, której doświadczała w godzinach pracy na niej, nieobecne już momenty gawędzenia z przyjaciółmi, z zanurzeniem rąk w krzewy agrestu itp., czyli coś takiego, co istniało jeno w relacji między nią i ogródkiem, w ich spojeniu ze sobą. To zaś wszystko było naturalne – naturalnością estetyczną, bo inna żyje dziś tylko w mitach i utopii.

Już Wolter zresztą w swym „Kandydzie” zachęcał, by każdy z nas tylko uprawiał swój ogródek i o nic więcej się nie troszczył. Może by więc nawet nie wybrzydzał, gdyby to była uprawa tylko ogródka działkowego. Jeśli jednak, kończąc te rozważania, mówię o działkowym właśnie, to z jednej strony, by podkreślić uwodziecielską jego moc, której uległem podczas wspomnianego tu wiosennego spaceru, z drugiej, że i on na dobrą sprawę tylko kpi z nas sobie sztucznością naturalności (jeno estetycznej, która Wolterowi mogłaby jednak nie odpowiadać. Wszak pragnął on i wierzył w powrót do natury, której ład da to, czego nie ma w społecznym świecie stwarzanym przez ludzi. My jednak już wiemy, że dla nas nie ma z niego ucieczki, choć budzi on tylko nienasyce. Warto więc czy nie warto słuchać porad z „Kandyda”?

Być może pytanie to jest bezprzedmiotowe.

